Nr. 10. Kraków, październik 1912. Rok VI.

Cena numeru pojedynczego 4 halerze (2 centy).



Redakcya i Administracya:
Kraków, ul. Franciszkańska L. 3.

Kłamstwa wrogów Kościoła.

Wiadomo, że wrogowie Kościoła katolickiego, liberałowie, masoni, socyaliści i żydzi najróżniejszych używają środków, by zohydzić nasz Kościół katolicki, nasze urządzenia kościelne, a zwłaszcza nasze duchowieństwo katolickie.

Nie cofają się przed najgorszemi kłamstwami ani oszczerstwami, by cel ten osięgnąć. Wrogowie Kościoła, nie mogąc ludu katolickiego pozyskać dla celów

przewrotnych, zohydzając nasz Kościół katolicki, sądzą, że tym sposobem prędzej ten lub ów katolik oderwie się od Kościoła i rzuci się w ich objęcia.

Lecz niedoczekanie ich! Katolicy znają aż nadto dobrze wstrętną broń i zatrute strzały wrogów wiary katolickiej.

Posłuchajmy, co na jednym ze zjazdów żydowskich we Lwowie postanowiono: „Kapłanom katolickim wypowiedzmy walkę najzacieklejszą na wszystkich polach. Kapłanów musimy zarzucić wielką ilością szyderstw i wyśmiewisk, oraz sprawkami z prywatnego życia, aby ich przez to oddać w ogólną pogardę i pośmiewisko“.

Ot, tak uchwalili żydzi, ci najwięksi nieprzyjaciele Kościoła katolickiego i narodu polskiego. To też gazety żydowskie, masońskie i socyalistyczne bardzo często umieszczają kłamstwa i potwarze rzucane na duchowieństwo katolickie. Na dowód przytaczamy kilka przykładów z ostatnich czasów.

Przed niedawnym czasem rozgrywał się w Madrycie ciekawy proces. Dziennik „El Liberal“ podał wiadomość, że w prowincyi Murcia zakonnik jakiś uciekł z młodą panienką. Sprawę upstrzono oczywiście i ubarwiono wielu zmyślonemi szczegółami.

Kapłani są zazwyczaj bezbronni wobec tego rodzaju oszczerstw — chociażby byli najniewinniejszymi. Lecz w tym wypadku wdał się w sprawę ojciec spotwarzonej panienki, wytoczył pismu proces o zniesławienie i poszkodowanie materyalne rodziny i panienki, której w ten sposób utrudnione może być odpowiednie stanowi zamążpójście i zażądał stosownego odszkodowania w ilości 150 tysięcy pesetów (około 150 tysięcy koron).

Sądy hiszpańskie w pierwszej i drugiej instancyi zatwierdziły żądane odszkodowanie. Najlepszy to i najdotkliwszy środek, by oszczerców niegodziwych uczynić ostrożniejszymi i wytrącić im z ręki wstrętną broń.

Przed dwoma czy trzema miesiącami gazety francuskie żywo omawiały sprawę proboszcza z Igornay.

Jakiegoś wieczoru został zamordowany stary dzwonnik — gdy wracał z kościoła po dzwonieniu na Anioł Pański. Podejrzenie padło na dwóch młodych ludzi, których też aresztowano. Obaj przyznali się do winy, tłómacząc się jednak tem, że miejscowy proboszcz namówił ich do morderstwa, by zabrać dzwonnikowi 500 franków oszczędności, które tenże zwykł był nosić przy sobie.

Oskarżenie to wystarczyło — by proboszcza okuć w kajdany i wtrącić do więzienia. Wielkie skutkiem tego powstało oburzenie u tych wszystkich — co znali biednego kapłana, jako ze wszech miar zacnego i cnotliwego.

To też wyobrazić sobie można, jakie hałasy wyprawiały gazety przeciwreligijne, w jakiem świetle sprawę tę przedstawiano. Słowem nie gorzej działo się jak po sprawie częstochowskiej.

Lecz radość gazet masońsko-socyalistycznych była krótką. W 17 dni po uwięzieniu przyznał się jeden ze zbrodniarzy wobec władz, że złożyli fałszywe zeznania, chcąc siebie ratować. Uwięzionego trzeba było uwolnić, a gorliwego sędziego, oczywiście wroga Kościoła odwołać. Lecz myliłby się, ktoby sądził, że gazety przeciwreligijne sprostowały potwarcze oskarżenie niewinnego kapłana.

Przy okazyi tej sprawy przypomina dziennik „L'Express de l'Ouest" następującą sprawę:

Przed kilku laty aresztowano ku ogólnemu zdumieniu pewnego bardzo szanownego kapłana, oskarżonego o demoralizacyę dzieci. Napróżno zaprzysięgał ów kapłan niewinność swoją; świadectwa dzieci były tak zgodne i dokładne, że sąd przysięgłych skazał go na ciężkie roboty, gdzie wkrótce umarł. Po kilku latach sprawa zaczynała ucichać. Tedy zapada ciężko na zdrowiu wójt owej gminy, znany powszechnie jako czynny członek masoneryi.

Ulegając prośbom rodziny, godzi się na przyjęcie spowiednika. Po spowiedzi oświadcza wobec wszystkich, że z jego to winy nieszczęśliwy proboszcz został niewinnie skazany. Kiedy bowiem jednego wieczoru dzieci opuszczały szkołę, ubrał się w sutannę i stanął przy drodze, prowadzącej na plebanię. Ksiądz nie mógł wykazać gdzieindziej swego pobytu, wszystko przemawiało przeciw niemu, szatański pomysł udał się najzupełniej i dopiero po śmierci wykazała się niewinność nieszczęśliwego kapłana.

Widzimy więc, jakich środków używają masoni, żydzi i socyaliści celem zohydzenia Kościoła katolickiego i jak ciężko i niesprawiedliwie musi nieraz cierpieć nasze duchowieństwo.

Z Kongresu eucharystycznego.

Uroczystości kongresowe rozpoczęły się w Wiedniu dnia 10 września przez przyjęcie legata czyli zastępcy papieskiego ks. Kardynała Rossume. Już od rana ulice, które prowadzą z dworca kolei zachodniej ku miastu, były uroczyście przyozdobione. Z domów zwieszały się poważnie sztandary o barwach papieskich, austryackich oraz miasta Wiednia. Główne ulice przyozdobione były w festony i girlandy. Przed kościołami ustawiono wielkie maszty, zdobne w zielone gałęzie. Po południu na ulicach panował już ścisk niezwykły. Na Mariahilferstrasse tysiące i tysiące ludzi zebrała się i ustawiło w szpaler. Prawie wszyscy nosili odznaki kongresowe. Policya i komitetowi ustawili ludzi w szpaler.

Po godzinie 3 po południu przybył pociąg, wiozący legata papieskiego, na stacyę podmiejską Rekawinkel, gdzie rozpoczyna

się archidyecezya wiedeńska. Tu oczekiwali legata Biskup-sufragan Zschokke w otoczeniu licznego duchowieństwa, oraz członek Izby panów bar. Walterskirchen i inni dygnitarze. Kiedy pociąg zajechał na stacyę, dzieci szkolne obsypały kwiatami cały peron. Publiczność, licznie zebrana na dworcu, zgotowała Kardynałowi owacyę; tak samo wzdłuż całej linii kolejowej na innych stacyach aż do Wiednia. Po przywitaniu legata papieskiego deputacya wiedeńska wsiadła do pociągu i z nim razem pojechała dalej.

Na dworcu kolei zachodniej, ozdobionym w kosztowne kobierce, ustawiono szpaler biało ubranych dziewcząt, które obsypały wjeżdżający pociąg kwiatami. Na peronie pojawili się między innymi: jako przedstawiciel dworu cesarskiego hr. Czernin, namiestnik bar. Bienerth, oraz wielu oficerów sztabowych i przedstawicieli wojskowości. W chwili wjazdu pociągu do Wiednia ze wszystkich kościołów odezwały się dzwony.

Gdy legat papieski wyszedł z wagonu, hr. Czernin podstąpił kilka kroków i wypowiedział w języku francuskim powitalną mowę. Kardynał Rossum odpowiedział dziękując za przyjęcie, a zwłaszcza za powitanie w imieniu cesarza, dla którego żywi niezwykłą cześć, poczem wszyscy wsiedli do przygotowanych dworskich powozów i ruszyli ku miastu. Kiedy Kardynał ukazał się na schodach dworca, publiczność powitała go głośnymi oklaskami. Przez całą drogę stowarzyszenia chrześcijańsko-katolickie tworzyły szpaler zdobny w przeszło 600 sztandarów.

Na Opernring oczekiwał Kardynała Arcybiskup Dr Nagel i burmistrz m. Wiednia Dr Neumayer. Tu ustawiono namiot, w którym odbyło się uroczyste przywitanie. Koło namiotu szczególną uwagę zwracał oddział 300 hiszpańskich członków kongresu.

Arcybiskup wiedeński ks. Kardynał Nagel powitał delegata dłuższem przemówieniem w języku łacińskim i niemieckim, na które ten również w obu językach odpowiedział, poczem oznajmił, że przyniósł błogosławieństwo papieskie przedewszystkiem dla cesarza i członków rodziny cesarskiej, jako też dla całej ludności. Obie mowy przyjęto żywymi okrzykami. Potem przemawiał burmistrz, który przypomniał wojny z Turkami, prowadzone w Wiedniu w obronie chrześcijaństwa.

Po odpowiedzi delegata cały pochód udał się przez Kerntnerstrasse do kościoła św. Szczepana, gdzie żołnierze 30 pułku piechoty utworzyli szpaler. Kardynał po krótkiej modlitwie przed głównym ołtarzem, wsiadł do samochodu i udał się do zamku cesarskiego, gdzie przygotowano dlań mieszkanie w tak zwanych apartamentach Radeckiego.

Tuż po przybyciu do zamku Kardynał został przyjęty przez cesarza na osobnem posłuchaniu.

Nazajutrz dnia 11 września po południu przy nadzwyczaj licznym udziale tłumów odbyło się w Rotundzie uroczyste otwarcie Kongresu eucharystycznego przez Biskupa Heylena z Namur.

W uroczystości wzięli udział w zastępstwie cesarza arcyksiąże Piotr Ferdynand i kilka Arcyksiężniczek, oraz ministrowie: Hussarek, Długosz, Zaleski, namiestnik dolnej Austryi br. Bienerth, burmistrz Wiednia Dr Neumayer i wielu naczelników miast.

Biskup Heylen otwierając Kongres wskazał na wielkie jego rozmiary i wyraził przekonanie, że przyniesie on dla życia katolickiego w Austryi świetne wyniki.

Potem odczytano pismo Ojca św. zawiadamiające o mianowaniu Kardynała Rosum legatem, czyli zastępcą Papieża na Kongresie. W piśmie tem wyraża dalej Ojciec święty wielkie pochwały dla cesarza Franciszka Józefa, w końcu życzenie, aby Kongres ten przyniósł pożytek ogólny.

Potem przemawiali X. Arcybiskup Nagel, minister oświaty Hussarek i kilka innych wybitnych osób.

Mimo ulewnego deszczu tłumy zalegały ulice. Po południu tegoż dnia udał się cesarz ze swoich prywatnych pokoi do pokoi w których zamieszkał legat papieski X. Kardynał Rosum, i złożył mu dłuższą wizytę. — O dalszych obradach napiszemy później.

Trzy Różańce.

Pewien bogaty właściciel ziemski, imieniem Artur, w młodości już utracił wiarę. Kształcił się w złych szkołach, gdzie przewrotne zasady bezwyznaniowych nauczycieli, oraz kłamliwe tłómaczenia przez nich zasad wiary i moralności, połączone z szyderstwem kościelnej służby Bożej, nadały stopniowo jego umysłowi wrogi dla religii kierunek i zepsuły mu serce. Bądź co bądź należał jednak, że tak się wyrazimy, do szlachetnego rodzaju niedowiarków, był miłym i łagodnym w obejściu, cały zaś jad swej niewiary ukrywał pod maską delikatnych towarzyskich manier i nader sympatycznej powierzchowności.

Teraz Artur był już pięknym starcem, z długiemi siwemi włosami i srebrzystą brodą, która spadała mu na piersi. Za młodu przyłączył się on do wolnomularzy (masonów), wywiązał się świetnie ze wszystkich prób w gronie „braci“ i doszedł nawet pomiędzy nimi do nader wysokiego „stopnia“.

Jako najzamożniejszy obywatel ziemski w całej okolicy, okazywał się zawsze bardzo ludzkim, wspierał ubogich i ogólne tem pozyskał uznanie. Ale pod szronem podeszłego już wieku płonął jeszcze ogień młodzieńczych namiętności, a doświadczenie lat przeżytych nie mogło całkowicie go uchronić od wielu niedorzecznych wybryków.

Starzec ten miał dobrą, pobożną córkę, imieniem Irmę.

Bogobojna i poczciwa ta panienka wzdychała nieraz i płakała skrycie nad niedowiarstwem i występkami swego ojca. Często

też można ją było widzieć zalaną rzewnemi łzami u stopni ołtarza, poświęconego na cześć Najświętszej Maryi Panny, Pocieszycielki utrapionych. Do tej potężnej Matki Miłosierdzia i Ucieczki grzeszników zasyłała biedna Irma gorące modły o nawrócenie swego ojca.

Pewnego razu, do wsi, w pobliżu której mieszkał Artur z córką, przybył gorliwy misyonarz, w celu urządzenia dla miejscowej ludności rekolekcyi, czyli ćwiczeń duchownych. Wówczas Irma, idąc za widocznem natchnieniem łaski Bożej, podwoiła swą gorliwość w modlitwie i rozdawaniu jałmużn, aby przy tej sposobności wyjednać nawrócenie tego, którego prawdziwie dziecięcą kochała miłością. Postanowiła też nie szczędzić niczego, aby módz tylko wydrzeć piekłu duszę ukochanego ojca.

Niezwłocznie więc z oczyma pełnemi łez, udała się do misyonarza, prosząc go o radę lub o wskazanie najlepszego środka, jakiego ma użyć dla dopięcia swego świątobliwego celu.

— Musimy modlić się, moje dziecię, modlić się ustawicznie — odrzekł zacny kapłan. — Nie trać bynajmniej nadziei, gdyż dobry Bóg i łaska jego są daleko potężniejszymi od szatana. Teraz zaś opowiedz mi szczerze, o nawyknieniach i zwykłym trybie życia twego ojca.

— Wiem tylko tyle — odparła córka — że codziennie wstaje o dziewiątej rano, o dziesiątej je śniadanie, poczem idzie do ogrodu, leżącego u podnóża pięknego pagórka, o jeden kilometr na zachód od wioski. Tam spędza większą część dnia, przechadzając się po ogrodzie, lub też zamyka się w pokoju.

— Dobrze, na teraz wystarczy to dla mnie — odrzekł misyonarz. — Proszę cię tylko, abyś codziennie przez dni kilka o kwadrans przed dwunastą w południe odmawiała Różaniec na intencyę nawrócenia biednego twego ojca.

Nazajutrz rano, po spełnieniu codziennych obowiązków udał się misyonarz z kościoła do ogrodu.

Stanąwszy na szczycie wzgórza, zaczął podziwiać z daleka śliczne aleje, zielone altany, kwiaty i wodotryski zdobiące przepyszny ogród.

Po chwili zamierzał już powrócić do wioski, gdy ujrzał ojca Irmy, który szedł do swej willi.

Gdy już zaledwie kilka kroków dzieliło go od starca, misyonarz powitał go uprzejmie i zatrzymał się na drodze, jak gdyby chciał mu się lepiej przypatrzyć.

Co to ma znaczyć, księże dobrodzieju? — zapytał gniewnie zdziwiony starzec.

— Przepraszam, łaskawy panie, jeżelim go obraził — odrzekł grzecznie misyonarz — ale widok pana nader silne wywarł na mnie wrażenie. Podziwiam wspaniałą pańską brodę. Proszę mi

wybaczyć moją szczerość, ale masz pan istotnie brodę godną patryarchy.

Komplement ten widocznie podobał się starcowi.

— Gdyby to nie było zbyteczną śmiałością z mej strony — odezwał się uprzejmie — to prosiłbym księdza dobrodzieja, abyś wstąpił choć na chwilę do mego ogrodu, który niedaleko stąd leży.

— Z przyjemnością — odparł kapłan.



MATKA BOŻA RÓŻAŃCOWA.

Poszli więc razem rozmawiając o deszczu, pogodzie i innych obojętnych przedmiotach, aż dopóki nie doszli do ogrodu. Tam przez czas niejaki przechadzali się po cienistych alejach, podziwiając kwiaty, wodotryski i drzewa.

Wreszcie weszli do dużej ogrodowej altany, której ściany zajmowały obrazy z prawdziwym wykończone artyzmem.

Zaledwie jednak misyonarz rzucił na nie okiem, musiał natychmiast się odwrócić, gdyż treść ich pod względem moralnej swej wartości wiele pozostawiała do życzenia.

Nie poruszając wcale tego przedmiotu, misyonarz spojrzał na zegarek, wytłómaczył się brakiem czasu i licznemi obowiązkami, które go odwoływały, poczem pożegnał się przyjaźnie ze starym panem.

Ten niezmiernie był ujęty prostotą, rozumem, a zarazem grzecznem i delikatnem obejściem się misyonarza, oraz wymógł na nim obietnicę, że nazajutrz rano znowu go odwiedzi. Irma tymczasem o oznaczonej godzinie z większą niż kiedykolwiek żarliwością pierwszy odmówiła Różaniec.

Stosownie do swej obietnicy nazajutrz rano misyonarz stawił się w ogrodzie punktualnie o tej samej godzinie. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do altany, spostrzegł, że obrazy wiszące na ścianach, obrócone zostały na odwrotną stronę. Podczas rozmowy, która jak zwykle zaczęła się od uwag dotyczących pogody, wzrok kapłana utkwił mimowoli w tak dziwacznie zawieszonych obrazach. I dziś jednak nie wyrzekł o tem ani słowa.

Po chwili obaj znowu wyszli do ogrodu i przechadzając się po alejach, ocienionych przepysznemi drzewami, rozmawiali o najnowszych utworach piśmiennictwa, o wypadkach politycznych, będących na porządku dziennym, i tym podobnych przedmiotach.

Niebawem misyonarz pożegnał uprzejmie gospodarza, mówiąc iż musi spieszyć do konfesyonału i przyjął zaproszenie na dzień następny.

Przez cały czas ich rozmowy, Irma odmawiała pobożnie drugi nakazany jej Różaniec i ze wzrastającą coraz bardziej ufnością błagała o pomoc Najświętsze Serce Maryi, Ucieczki grzesznych.

Z większą jednak żarliwością i pobożnością zabrała się na trzeci dzień Irma do odmawiania Różańca, wylewając u stóp Najświętszej Bogarodzicy rzewne i obfite łzy, które jej głęboka wyciskała boleść. Tymczasem misyonarz udał się poraz trzeci do ogrodu starego pana, ten zaś przyjął go z niezwykłą uprzejmością i niewątpliwemi oznakami szczerego szacunku.

Po wspólnej przechadzce przeszli obaj do pokoju, służącego za pracownię pana Artura.

Z radosnem zdziwieniem spostrzegł tam misyonarz piękny klęcznik, nad którym wisiał krucifiks z kości słoniowej.

Starzec się uśmiechnął.

— Czy zauważyłeś co niezwykłego, księże dobrodzieju? — zapytał.

— O tak, mój przyjacielu — odparł z radością kapłan, ucieszony niezmiernie tem, że Marya spojrzała miłosiernem okiem na pokorną swą sługę i wysłuchała łaskawie modlitw czystej i niewinnej duszy.

— Księże dobrodzieju — odezwał się wtenczas Artur drżącym od wzruszenia głosem — długo walczyłem, ale nareszcie po ciężkiej walce uznaję się za zwyciężonego i składam broń pokornie. Łaska zwyciężyła. Masz przed sobą księże dobrodzieju starego grzesznika, który wyrzeka się swych błędów, odrzucając zarazem wszystkie fałszywe zasady bezbożnej filozofii. Teraz dopiero boskość katolickiej religii objawiła mi się w całym swym blasku i piękności.

Podobnie jak św. Augustyn, szukałem szczęścia w marnych rozkoszach tego świata i jak on wówczas, dopiero znalazłem spokój, gdy zdeptawszy nogami wszystko co ziemskie, zwróciłem ku niebu wszystkie pragnienia swego serca. Teraz uznaję z głębi duszy głęboką prawdę słów mędrca: Wszystko próżnością jest i nicością. Ty więc czcigodny Ojcze pomóż biednemu rozbitkowi dotrzeć do bezpiecznego portu, zaprowadź zbłąkaną owieczkę do jedynej prawdziwej Chrystusowej owczarni, to jest: na łono świętego katolickiego Kościoła i ulecz mą duszę z ran jej zadanych.

Długo kapłan z dawnym wolnomularzem w serdecznem trzymali się w objęciu, a gorące łzy skrapiały ich lica.

W kilka dni później przy końcu rekollekcyi ujrzano u Stołu Pańskiego młodą, od radości promieniejącą panienkę, obok niej zaś czcigodnego starca z długą, srebrzystą brodą. Szlachetna i skromna postawa tego ostatniego, oraz głęboka pobożność, z jaką brał udział w religijnych obrzędach, zdumiewała i cieszyła poczciwą ludność wiejską, którą poprzednie niedowiarstwo pana Artura niezmiernie oburzało.

— Widzimy więc, jak potężną jest modlitwa i jak zbawienną i zwycięzką broń przeciw złemu duchowi stanowi Rożaniec.

Jubileusz zasłużonej zakonnicy.

Dnia 4 września br. w macierzystym domu Sióstr Służebniczek Najśw. Maryi Panny w Starej wsi koło Brzozowa, obchodzono uroczystość 50-letniego jubileuszu zakonnego Generalnej Przełożonej tego Zgromadzenia Matki Leony Jankiewiczówny.

Jakkolwiek w pierwszym rzędzie była to uroczystość ściśle zakonna, mimo to, o zasłużonej Jubilatce powinien wiedzieć szerszy ogół, bo czcigodna Jubilatka zasłużyła sobie na wdzięczność i uznanie całego kraju za szczerą pracę dla sprawy Bożej i dobra ludu naszego.

Właściwym założycielem Sióstr Służebniczek Najśw. Maryi Panny, był ś. p. Edmund Bojanowski w Poznańskiem. Gorące jego serce odczuwało, że wiele dziewcząt wiejskich ma prawdziwe powołanie do służby Bożej — ale niema dla nich odpowiedniego

Zgromadzenia zakonnego. Utworzył więc nowe Zgromadzenie Służebniczek Najśw. Maryi Panny, które miało gromadzić pracowniczki z pod słomianej strzechy, oddające się wyłącznie pracy nad ludem.

Pierwszy dom galicyjski tegoż Zgromadzenia otwarto w Łańcucie w roku 1861. W rok później wśród 16 kandydatek, z których dwie dotychczas są przy życiu, wstępuje do Zgromadzenia Matka Leona. Urodzona w Swiątnikach, z rodziny, w której od dawna kwitła pobożność, obdarzona przytem niezwykłymi darami umysłu i serca, oddała się całą duszą nowemu a wielkiemu dziełu.

Jakoż na jej zdolnościach poznano się rychło, a już w trzy lata później tj. w roku 1865 stanęła jako Przełożona na czele Zgromadzenia, które z Łańcuta przeniesiono do Starej wsi. W tym czasie liczyło Zgromadzenie zaledwie 4 domy filialne.

Były to czasy nader ciężkie dla młodego Zgromadzenia. Rząd zaczął je podejrzywać, chwilowo nawet skasował, a ludzie zamiast wdzięczności za szlachetną pracę, odpłacali się Zgromadzeniu niechęcią i podejrzeniami.

Przytem niedostatek był tak wielki, że nieraz kawałka chleba w domu nie było, i zdawało się, że z tej niedoli niema już wyjścia ni jakiego ratunku.

A jednak przy Bożej pomocy i niezmiernej pracy i zapobiegliwości Matki Leony, która za wszystkich myślała i modliła się, Zgromadzenie nie tylko nie upadło, ale coraz więcej się dźwigało i rozszerzało.

Przybywało kandydatek do nowicyatu, przyszło wreszcie w r. 1875 zatwierdzenie rządowe, potem zatwierdzenie ze strony Rzymu, i dziś sędziwa Przełożona widzi koło siebie przeszło tysiąc swych Sióstr zakonnych, które, rzec można, sama wypiastowała, i 215 kwitnących domów i ochronek, rozsypanych po wioskach i miasteczkach naszego kraju.

Zgromadzenie Sióstr Służebniczek zdobywa sobie coraz większe uznanie u ludu naszego, bo doprawdy, każdy z tych białych domków, koło których krzątają się Siostrzyczki w niebieskich sukniach i białych chustkach, to dom dobroczynny dla całej wsi, z niego bowiem rozchodzi się na wioskę duch Boży i wieloraka pomoc w potrzebach.

Prawdziwi więc przyjaciele ludzi, powinni prosić Boga, aby czcigodnej Jubilatce i jej Zgromadzeniu błogosławił w jak najdłuższe lata!

Słówko o pijaństwie.

Największym i najstraszniejszym wrogiem ludzkości był i jest alkohol.

Że dawniej lud pił i upijał się, nic jeszcze dziwnego, boć ten lud nie był wówczas jeszcze uświadomiony o zgubnem dzia-

łaniu alkoholu na zdrowie ludzkie, ale obecnie, kiedy nauka wykazała nam jasno jak na dłoni, że używanie wódki czy piwa w większej ilości stanowczo szkodliwie wpływa na organizm ludzki, że osłabia takowy i czyni go mniej odpornym przeciw wszelkim chorobom, powinniśmy więc stanowczo wyrzec się tego i raz na zawsze porzucić ten nałóg, który pogrąża nas w nędzę i rujnuje nam zdrowie.

Pomimo to, że wódka szkodzi nam na zdrowiu, jest ona jeszcze i z wielu innych względów godna potępienia.

Ileż to widzimy opłakanych jej skutków! Wiele rodzin doprowadziła ona do ostatniej nędzy, wyzuła z całego majątku, pozbawiła środków do życia!..

A gazety co tydzień donoszą nam o różnych zbrodniach dokonywanych, nieraz nawet przez z gruntu uczciwych ludzi, pod działaniem alkoholu. Strach o tem pomyśleć nawet do czego ta przeklęta wódka doprowadza lud! A więc, czyż nie zdobędziemy się nareszcie na to, aby wyzbyć się tego strasznego nałogu, który czyni nas podobnymi więcej do zwierząt niźli do ludzi stworzonych na obraz i podobieństwo Boże!

Czas by już było nareszcie...

Ileż to mamy potrzeb koniecznych, naglących, a nie mamy na nie pieniędzy, a tymczasem na wódkę wydajemy rocznie miliony!

Mój Boże, coby to można za to zrobić dobrego dla naszego ludu, ile łez otrzeć, ile nędzy wesprzeć!

A my to obracamy na rujnowanie własnego zdrowia, na poniżenie powagi osobistej i narodowej. I czyż nas nie wstyd marnować tyle grosza, który nam przecież tak łatwo nie przychodzi, a którego nam brak na inne niezbędniejsze potrzeby.

Gdybyśmy te pieniądze obracali corocznie na cele oświatowe, jako to na czytelnie, domy ludowe, książki i gazety, to napewno nie znalazłby się u nas ani jeden człowiek nieumiejętny, a potem zakwitłby u nas dobrobyt w kraju i szczęście w narodzie.

A nam łatwiej zdobyć się na wódkę, ale gdy potrzeba na jakiś chwalebny cel, z którego ma płynąć rozum i oświata — to u nas zawsze po obiedzie i zawsze nie mamy.

Na wódkę wydajemy po kilkadziesiąt koron rocznie każdy — na gazetę zaś, któraby nas pouczała, któraby nam sprawiała przyjemną rozrywkę — to nam kilku koron żal.

Oj, Bracia, czas, aby wejrzeć w przyszłość, poprzestać hulanek, a wziąć się do pracy. Bo, gdy tak dalej będziemy postępować, to musimy zmarnieć. Widzimy przecież ilu naszych przyjaciół, znajomych wódka pozbawiła wszystkiego, wielu zamożnych gospodarzy i rękodzielników dzisiaj pracuje jako wyrobnicy, dla-

tego, że nie chcieli się wyzbyć nałogu pijaństwa, a więc stanie się to i nam, gdy pójdziemy w ich ślady.

Posłuchajcie Bracia drodzy mej rady i prośby, i porzućcie na zawsze ten przeklęty trunek, który Was gubi.

Wasz brat i przyjaciel.

Co mówi św. Karol Boromeusz o obowiązkach rodziców względem dzieci.

Ojcowie i matki! Troszczycie się pilnie o rzeczy drobnej wartości, ale mało czynicie, aby synów waszych i córki prowadzić do Boga, a przecież to jest waszym głównym obowiązkiem. Od dobrego wychowania zawisło szczęście waszej rodziny, a co więcej szczęście gminy i państwa? Jeśli zaś dzieci swoje źle wychowujecie, tak, że nie mają bojaźni przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi, to jakież nieszczęścia i jakie szkody są tego następstwem!

„Ojcowie, powiem wam, co jest waszym obowiązkiem i czego Bóg wymaga od was. Każdy z was powinien swych synów i córki, gdy są jeszcze małe i wrażliwe, uczyć nauki wiary i moralności, w święta i niedziele zabierać je do kościoła, pouczać je dobrym przykładem i przyzwyczajać do częstego przyjmowania Sakramentów św. To byliby dzielni, zacni rodzice i otrzymaliby zupełną nagrodę od swych dzieci.

Ojcowie, jak miłą Bogu jest rzeczą, gdy mu się ofiaruje młodzież! Jak często grzeszycie, gdy spokojnie patrzycie na to, że wasi synowie pierwsze lata poświęcają światu! Św. Jan nie czekał późnego wieko, tylko zaraz, gdy został powołany, poświęcił młodość swoją Chrystusowi.

Pierwszym obowiązkiem ojca i matki jest zabierać ze sobą dzieci do kościoła.

Jakkolwiek dzieci nie rozumieją jeszcze dobrze, czego w kościele uczą i głoszą, to jednak niemały stąd owoc, jeśli są w kościele, a nie z towarzyszami, dla których ćwiczenia duchowne są niemiłe.

Im mniejszem jest dziecko, tem więcej musi ojciec dbać o to, aby rosło ku niebu i dobre przyzwyczajenie uczęszczania do kościoła niejako z mlekiem wchłaniało w siebie. Chociaż bowiem dziecko nie rozumie jeszcze, co się dzieje w kościele, to przyzwyczai się jednak do częstego bywania w kościele, a gdy później ten zwyczaj zachowa, będzie chętniej i spieszniej posłusznem.

Wiele rodziców mówi w dzisiejszych czasach: „Dzieci są jeszcze za młode, niech wyszumią i użyją młodości"! — Czy istotnie

sądzicie, że powinny najprzód poranić się i trucizny zażyć, aby później je leczyć? Czy kwiat młodości ma się oddać najprzód szatanowi, a resztki życia Bogu? Jeżeli pozwolicie drzewku, gdy jeszcze jest wątłe i delikatne, rosnąć krzywo, to później, kiedy zjędrnieje, chcielibyście je mieć proste? Rodzice! krzywdę wielką wyrządzacie dzieciom swoim zbytnią pobłażliwością patrząc, jak się u nich zakradają złe obyczaje, które później, choćbyście chcieli, trudno jest zwalczyć!

Ojcowie i matki! Strzeżcie synów i córki bacznie, aby się nie zepsuły obcowaniem z złymi ludźmi, aby się nie skrzywiły, dopóki są jeszcze wiotkiem drzewkiem. Musicie pilnie uważać, z kim mówią i obcują i jakiemi chodzą drogami. Jeśli jakieś złe przyzwyczajenie chce się zakraść, trzeba natychmiast wszelkiemi sposobami zagrodzić mu przystęp. Jeżeli się nie wystąpi od samego początku przeciw występkowi, to później już niema na niego lekarstwa. Człowiek bowiem w swej młodości jest tak skłonny do złego, że to, co jego zepsutej naturze wydaje się słodkiem, nietylko próbuje, ale także bardzo chętnie całe pochłania, nie rozpoznając ukrytej w słodyczy trucizny".

Posłuszny syn Kościoła.

Przed kilkuset laty przebywał na dworze królowej angielskiej, jako posłaniec rządu francuskiego, pewien książę, znany z rycerskiego ducha i silnego przywiązania do Kościoła. Otóż zdarzyło się, że królowa kilkakrotnie zapraszała księcia do siebie na obiad, a ten zawsze odmawiał.

Królowa, zdziwiona takiem postępowaniem gościa, postanowiła osobicie dowiedzieć się od księcia o przyczynie jego niegrzeczności.

„Dlaczego — spytała raz — książę zawsze się wymawia, ilekroć go proszę na obiad?"

„Dlaczego — odpowiedział książę — Wasza Królewska Mość zaprasza mnie zawsze w piątek do stołu i zmusza mnie przez to do łamania przykazań Kościoła? Wasza Królewska Mość wie przecież o tem, że nam katolikom nie wolno w piątek jeść mięsa".

Wskutek tej odpowiedzi królowa przyrzekła przy następnem zaproszeniu dbać o to, aby książę nie potrzebował sprzeciwiać się przepisom kościelnym. W oznaczony piątek zjawił się też książę u królowej poraz pierwszy. Z rozkazu królowej usiadł na zaszczytnem miejscu, po prawej ręce królowej. Podawano mu tylko potrawy postne, które sporządziła sama królowa.

Jest to piękny przykład dla tych katolików, którzy znalazłszy się w towarzystwie ludzi obojętnych we Wierze, łamią z nimi

przykazania Boże lub kościelne, zasłaniając się zwykle przysłowiem: „Jak wejdziesz między wrony, krakaj, jak i one.“ Ów książę nie stosował się do tego przysłowia, bo był prawdziwym katolikiem.

Obłuda socyalistów.

Kiedy niezbyt dawnego czasu obecnie nam panujący Papież Pius X. wydał rozporządzenie ograniczające liczbę świąt i polecił XX. Biskupom, aby w miarę swego uznania przenieśli je na niedzielę, wtedy socyaliści, choć w nic nie wierzą — pierwsi podnieśli faryzeuszowski krzyk, i stanęli nibyto w obronie świąt katolickich.

Różne szmaty socyalistyczne stojące na żołdzie żydowskim poczęły w ohydny sposób napadać na Stolicę Piotrową, choć redaktorzy owych piśmideł dobrze wiedzieli, że Ojciec święty chciał przez zmniejszenie świąt dać robotnikom więcej dni do zarobku, a ucbronić niejednego od pijaństwa i marnotrawienia grosza, bo wiadomo, że wielu robotników najwięcej traci ciężko zapracowanego grosza w niedziele i święta.

Ale socyałom o co innego tu chodziło; oni użyli tej sposobności, aby wylać swą nienawiść ku Papieżowi i Kościołowi i chcieli łowić ryby w wodzie, którą naumyślnie zamącili, przedstawiając ludowi całą tę sprawę w najfałszywszem świetle.

Że socyałów nic święta katolickie nie obchodzą, że owszem pragną, aby lud roboczy w te dni robił, lub znieważał je hulatykami i pijaństwem — to tego mamy codzienne prawie przykłady.

A dalej wiadomo, że wszelkie zgromadzenia socyalistyczne odbywają się u nas zawsze w niedziele i święta i to w godzinach, w których odbywają się po kościołach nabożeństwa, aby w ten sposób robotników odciągać od Kościoła i nabożeństw.

I jeszcze inny przykład: niedawno temu wybuchł na Śląsku austryackim w fabrykach ostrawskich zatarg między robotnikami a dyrekcyą zakładu. Robotnicy nie chcieli za żadną cenę pracować w św ęta, pomimo rozporządzenia dyrekcyi, tembardziej, że dla braku pracy nieraz w tygodniu niema co robić — więc w święto nie było potrzeby pracować.

Przywódcy jednak socyalistyczni, choć wiedzieli, że praca w święto wychodzi na korzyść tylko kapitalistom a nie robotnikom, nakazali robotnikom wprost, aby poszli we święta do pracy. Dlaczego przywódcy socyalistyczni stanęli tu po stronie kapitalistów przeciw robotnikom, to już pozostaje ich tajemnicą — jawnem jest atoli to, że całe ich ujadanie nibyto w obronie świąt katolickich było obłudą.

Niegodziwa napaść luterska na robotników katolickich.

Niemieccy bogacze, właściciele kopalń i hut, oraz właściciele ziemscy posługują się na wiosnę całą sforą ajentów, aby oszukańczemi obietnicami dobrych zarobków pozyskać robotników polskich na obczyznę, w głąb Niemiec.

Rok rocznie opuszczają wielkie rzesze ludu polskiego kraj rodzinny i idą na tułaczkę do Niemiec, aby swą ciężką pracą bogacić Niemców.

I ci sami Niemcy zamiast okazywać jaką taką wdzięczność polskiemu ludowi, plwają w luterskich gazetach na tych robotników, i piszą, że robotników polskich nie należy dopuszczać do granic ziemi saskiej, bo robotnicy polscy szerzą niemoralność wśród niemieckiej ludności, są przyczynami różnych chorób, a nadto są niebezpiecznymi także pod względem politycznym.

Na to obydne oszczerstwo dał im dosadną odprawę dziennik krakowski „Głos Narodu", który wykazał, że właśnie najbardziej zepsutą pod względem moralnym i najniżej stojącą w całych Niemczech jest ludność niemiecka w Saksonii. Tu także tj. w Saksonii zdarza się wśród Niemców najwięcej samobójstw, najwięcej też dzieci nieślubnych, a większa część mieszkańców nie posiada żadnej wiary.

Wypoczynek i święcenie niedzieli jest prawie nieznane w Saksonii, w niedzielę do południa pracują tam Niemcy tak samo jak w każdy dzień powszedni, po południu zaś szynki i sale zabaw wypełnione są szczelnie. Robotnicy sascy prawie bez wyjątku są bezwyznaniowymi, to znaczy, że w nic nie wierzą i wszyscy należą do obozu socyalistycznego. Ludność saska, zwłaszcza po miastach żyje całkiem po pogańsku, hasłem jej życia: to używanie w najszerszem tego słowa znaczeniu.

Lud zaś polski, choć ma wiele wad — ale ma też i piękne cnoty. Przedewszystkiem nasz lud odznacza się wprost bohaterską wiarą, pobożnością i niesłychaną na obczyźnie zwłaszcza pracowitością.

Co się tyczy zarzutu pijaństwa, prawdą jest, że nasz lud wielce się hańbi wobec Niemców tym nałogiem, ale Niemcy piją jeszcze więcej i zalewają się piwskiem jak nieboskie stworzenia.

Zresztą dużo winy ponoszą tu sami panowie pruscy, bo pozwalają na urządzanie kantyn w koszarach robotniczych przez włodarzy, a ci moralnie zmuszają nasz lud do picia, jeśli bowiem robotnik w takiej kantynie nie wypije i nie da utargować włodarzowi, czeka go za to złe oko włodarza przy pracy.

Kłamliwym jest także zarzut, jakby nasz lud szerzył na Saksach różne zakaźne choroby, stwierdzonem jest zaś, że lud nasz

powraca z Saksów z najwstrętniejszemi chorobami, a więc tam ich nabywa, od ludności niemieckiej.

Śmiesznym wprost jest wreszcie zarzut, jakoby nasz robotnik był pod względem politycznym niebezpiecznym, bo robotnik polski idzie na Saksy nie dla robienia polityki, ale, aby zarobić na kawałek chleba.

Niemcy głoszą przed światem, że „tylko Boga się boją“ — a tu jak widać boją się także jeszcze i polskiej ręki. Jakże robotnik polski może być niebezpieczny dla państwa niemieckiego, kiedy mu nawet przez rok nie wolno pozostać w Niemczech.

Więc i ten zarzut mija się z prawdą. Wogóle cała owa napaść gazety luterskiej jest niczem więcej — tylko najbezczelniejszem kłamstwem.

To i owo.

Opieka Ojca św. nad emigrantami. Ojciec święty ustanowił osobny urząd dla potrzeb duchownych emigrantów obrządku łacińskiego. Zadaniem tego urzędu duchownego będzie obmyślanie środków, któreby polepszyły opłakaną dolę emigrantów w rzeczach religii. Emigrantami zaś obrządku wschodniego opiekować się będzie św. Kongregacya propagandy.

Z prawosławia na katolicyzm przeszło pod Moskalem, mianowicie w Królestwie Polskiem, na Ukrainie i na Litwie w latach 1905—1908 przeszło 232 tysięcy osób.

Nowa sekta powstała w Rosyi, w gubernii kurskiej. Twórcą tej sekty jest jakiś mnich, Stefan Podgornyj, którego sekciarze uznają za „świętego“. Stefanowscy (bo tak ich nazywają ci sekciarze) nie zawierają małżeństw, ale za to oddają się rozpuście i mówią, że w ten sposób „oczyszczają duszę“.

Skutki socyalistycznej roboty. Lekkomyślnie wywołany przez socyalistów strajk górników w Westfalii w roku obecnym kosztował biednych uwiedzionych górników niesłychane sumy. Ich dokładne ustawienie ogłaszają teraz gazety niemiecko-westfalskie według wiadomości zaczerpniętych przez królewski wyższy urząd górniczy w Dortmundzie.

Według tych wiadomości górnicy ponieśli stratę około 13 milionów 200 tysięcy marek. Z sumy tej przypada na utratę zarobków 8 milionów 488 tysięcy 804 marek, na karę ściągnięto za zerwanie kontraktów 4 miliony 752 tysięcy 426 (potrącono każdemu zarobek za 6 „szycht“), ogółem dotkniętych zostało tą karą 155.852 górników, a każdemu przeciętnie potrącono po 30 marek 50 fenigów.

Oto skutki strajków podjętych lekkomyślnie na chwałę partyi socyalistycznej i z nienawiści związków chrześcijańskich.

Wydawca: Ks. Dr Karol Nikiel. Odpowiedzialny redaktor: Karol Holeksa.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.